

NANCY SPRINGER

**ENO
LA
HOLMES**

**SPRAWA ZAGINIONEGO
MARKIZA**

Przetłumaczyła Elżbieta Gałązka-Salamon



LONDYŃSKI EAST END
PO ZMIERZCHU,
SIERPIEŃ 1888 ROKU

Jedyne światło, które oświetla ulicę, sączy się z paru nierozbitych jeszcze latarń gazowych i z wiszących nad kocimi łbami kociołków z żarem, przy których krzątają się staruszkowie sprzedający gotowane ślimaki morskie przed pubami. Nieznana nikomu kobieta, odziana od stóp do głów w czerń, przemyka się z cienia w cień, jakby sama też była cieniem, niewidzialna dla innych. Skąd się mogła wziąć? To nie do pomyślenia, żeby przedstawicielka płci żeńskiej wychodziła po zmierzchu na ulice bez eskorty męża, ojca czy brata. Jednak zrobi wszystko, co w jej mocy, by odszukać tego, który zaginął.

Szeroko otwarte oczy wypatrują, lustrują, obserwują zza czarnej woalki wszystko, co da się dostrzec po drodze. Ich właścicielka zauważa stłuczone szkło na spękanym chodniku. Widzi szczury, które przemykają bez

żenady po ulicy, wlokąc za sobą swoje obrzydliwe bezwłose ogony. Dostrzega obdarte dzieci, biegające boso między szczurami i odłamkami szkła. Widzi pary, mężczyzn w czerwonych flanelowych kamizelkach i kobiety w tanich słomkowych czepcach, idące pod rękę zygzakiem. Dostrzega osobnika leżącego pod ścianą, kogoś, kto się upił i zasnął wśród ulicznych szczurów. A może nawet umarł.

Rozglądając się, kobieta nasłuchuje. Gdzieś odzywa się katarynka, śląc skoczne dźwięki w gęste od sadzy powietrze. Poszukiwaczka w czarnym welonie słyszy tę fałszywą muzykę. Słyszy głos dziewczynki wołającej: „Tatusiu! Tatku!” – przed wejściem do pubu.

Słyszy wrzaski, śmiech, pijackie pohukiwania, głos ulicznego sprzedawcy: „Świeżutkie ostrygi! Podlewajcie octem i łykajcie w całości! Okazałe, cztery sztuki za pensa!”.

Czuje zapach octu. Czuje woń dżinu, gotowanej kapusty i smażonej kiełbasy, słonawy podmuch z pobliskiego portu i smród Tamizy. Czuje zapach gnijących ryb. Czuje odór płynących ścieków.

Przyspiesza kroku. Nie może przystanąć, bo nie dość, że kogoś szuka, to i sama jest poszukiwana. Zawołowaną łowczynię w czerni tropią inni łowcy. Musi

się poruszać na tyle szybko, by ścigający nie mogli jej dopaść.

W blasku kolejnej latarni dostrzega kobietę o wymalowanych wargach i z rozmazanym tuszem pod oczami, stojącą w sieni kamienicy. Po chwili obok niej zatrzymuje się przejeżdżająca ulicą dorożka. Wysiada z niej mężczyzna we fraku i lśniącym cylindrze. Chociaż kobieta w sieni ma na sobie wydekoltowaną suknię wieczorową, która mogła kiedyś należeć do damy ze środowiska dżentelmena, obserwatorka w czerni nie podejrzewa, by pasażer dorożki przyjechał zabrać ją na bal. Widzi wymizerowaną twarz i jej podszyte strachem spojrzenie, mimo że czerwone usta wyginają się w uśmiechu. Jedną z parających się jej fachem znaleziono niedawno martwą, z rozprutym brzuchem, o kilka przecznic dalej. Poszukiwaczka w czerni unika spojrzenia ulicznicy i idzie dalej.

Mruga na nią nieogolony mężczyzna, oparty o ścianę budynku.

– Sze pani, co panusia tu robi całkiem sama? Nie potrzeba panusi towarzystwa?

Gdyby był dżentelmenem, nie odezwałby się do niej, nie zostawszy jej wcześniej przedstawionym. Po stać w czerni ignoruje go i przemyka obok. Nie wolno

jej się do nikogo odezwać. Jest w obcym dla siebie środowisku. Jednak świadomość tego faktu nie robi na niej wrażenia, ponieważ zawsze i wszędzie czuła się wyobcowana. I w pewnym sensie zawsze była sama. Mimo to czuje ukłucie w sercu, spoglądając trwożnie na cienie, ponieważ nie ma już domu i jest kimś obcym w największym mieście świata, i nie wie, gdzie tej nocy przyjdzie jej złożyć głowę do snu.

A gdyby – jeśli Bóg pozwoli – udało jej się przetrwać do rana, może mieć tylko nadzieję, że odnajdzie bliską jej osobę, której teraz wypatruje.

Wchodzi coraz głębiej w mrok i portowe rudery Wschodniego Londynu. Sama.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego mama wybrała mi imię „Enola”, które czytane wstak daje angielskie słowo „alone”, czyli „sama”. Mama uwielbiała, i prawdopodobnie nadal uwielbia, anagramy i szyfry, więc musiała jej przyświecać jakaś myśl. Może było to przeczucie, może jakieś leworęczne błogosławieństwo albo plany, chociaż mój ojciec jeszcze wówczas żył.

Tak czy inaczej: „Doskonale sobie poradzisz sama, Enolu” – powtarzała mi niemal każdego dnia, kiedy byłam już podlotkiem. Tymi słowami zresztą żegnała się zazwyczaj ze mną w roztargnieniu, kiedy wychodziła ze szkicownikami, pędzelkami i akwarelami na włóczkę po wiejskich bezdrożach. I rzeczywiście, zostałam całkiem sama, kiedy pewnego lipcowego

wieczoru, w dniu moich urodzin, nie wróciła do Fern-dell Hall, gdzie mieszkaliśmy.

Ponieważ zdążyłam już nieco poświętować w towarzystwie Lane'a, kamerdynera, i jego żony, kucharki, początkowo nieszczęśliwie przejęłam się nieobecnością swojej rodzicielki. Chociaż łączyły nas serdeczne więzi, rzadko kiedy jedna wtrącała się w życie drugiej. Doszłam do wniosku, że zatrzymały ją gdzieś jakieś pilne sprawy, tym bardziej że przykazała przedtem pani Lane, by ta wręczyła mi podczas podwieczorku kilka prezentów.

Dostałam od mamy, co następuje:

Zestaw do rysowania: papier, ołówki, scyzoryk do ich ostrze-nia oraz gumki do wycierania, ułożone w sprytnie pomyślanej, płaskiej drewnianej skrzynce, która po otwarciu zamieniała się w sztalugę.

Opasły tom, zatytułowany *Mowa kwiatów*, z dołączonymi uwagami o sekretnym języku wachlarzy, chusteczek, wosko-wych pieczęci i znaczków pocztowych.

O wiele cieńszy zeszyt z zaszyfrowanymi tekstami.

Chociaż moje umiejętności plastyczne były raczej przeciętne, mama zachęcała mnie, bym wykorzystywała nawet tak skromny talent. Znała moje zamiłowanie za-

równy do szkicowania, jak i do czytania prawie każdej dostępnej książki na dowolny temat – ale akurat szyfrowane zagadki nieszczególnie mnie pociągały. Mimo to sama sporządziła dla mnie zawierającą je książeczkę, pozszywała jej karty i ozdobiła delikatnymi akwarelowymi kwiatuskami.

Było oczywiste, że poświęciła sporo czasu na przygotowanie tego podarku. Więc jednak bywają chwile, że o mnie myśli, powtarzałam sobie raz po raz tego wieczoru. Chociaż nie miałam pojęcia, gdzie mogła się podziewać, przypuszczałam, że albo niebawem wróci, albo prześle nam w nocy jakąś wiadomość. Spałam zatem dość spokojnie.

A jednak nazajutrz Lane potrzęsnał smutno głową. Nie, pani domu nie wróciła. Nie, nie ma od niej żadnych wiadomości.

Za oknem było szaro i deszczowo, jakby pogoda chciała się dostroić do mojego coraz bardziej nieswojego nastroju.

Po śniadaniu podreptałam z powrotem na górę do swojej sypialni, całkiem przyjemnego azyłu, do którego wstawiono szafę, stolik do mycia, bielizniarkę i inne meble, pomalowane na biało i ozdobione w narożnikach naniesionymi z szablonu błękitnymi i różowymi bukierkami.

cikami. „Wsiowe meble”, jak mawiano, nadające się jedynie do pokoju dziecinnego, jednakże bardzo je lubiłam. Zazwyczaj.

Ale nie dziś.

Nie mogłabym usiedzieć w domu; doprawdy usiadłam tylko po to, żeby wciągnąć na buty kalosze. Miałam na sobie koszulę i pumpy, wygodne ubranie odziedziczone po moich starszych braciach. Narzuciłam na to wszystko płaszcz przeciwdeszczowy. Cała ogumowana, pognałam z tupotem na dół i chwyciłam parasol ze stojaka w holu, a następnie wyszłam przez kuchnię na zewnątrz, mówiąc pani Lane:

– Idę się rozejrzeć. – Dziwne, niemal zawsze tak właśnie mówiłam, wychodząc z domu, oświadczałam, że wybieram się na poszukiwania, chociaż zasadniczo nie wiedziałam czego. Czegokolwiek. Wspinałam się na drzewa, żeby sprawdzić, co tam w górze zastanę: a to paskowane na bordowo i żółto skorupy ślimaków, a to kiść orzechów laskowych, a to ptasie gniazdo. A kiedy traślałam na domostwo sroki, często znajdowałam w nim rozmaite przedmioty: guziczki od butów, lśniące wstążeczki, czyjś utracony kolczyk. Udawałam, że zginęło coś ogromnej wartości i wybieram się na poszukiwania. Tyle że tym razem nie udawałam.

Pani Lane także wyczuła, że sytuacja jest zupełnie inna. Zazwyczaj pytała: „A gdzież to kapelusz panienki, panno Enolu?”, ponieważ zawsze wychodziłam z gołą głową. Tym razem odprowadziła mnie tylko wzrokiem do drzwi bez żadnego komentarza.

Idę się rozejrzeć za moją matką.

Naprawdę uważałam, że sama potrafię ją odszukać.

Upewniwszy się, że już mnie nie widać z kuchni, zaczęłam biegać w tę i z powrotem, niczym pies myśliwski, wypatrując śladów, które mogła zostawić mama. Poprzedniego dnia rano, z okazji urodzin, pozwolono mi się wylegiwać do późna w łóżku, więc nie widziałam, jak mama wychodzi. Ale zakładając, że jak zwykle poświęciła kilka godzin na malowanie szkiców kwiatów i roślin, szukałam jej najpierw na terenie posiadłości Ferndell.

Zarządzająca majątkiem mama dawała roślinom pełną swobodę. Błąkałam się wśród dziczałych ogrodów kwiatowych, krążyłam po trawnikach, na których rozpanoszyły się janowce i jeżyny, i po zagajnikach pełnych obrośniętych winem i bluszczem drzew. A szare niebo bez wytchnienia roniło nade mną deszczowe łzy.

Przez jakiś czas dreptał u mojego boku Reginald, sędziwy owczarek szkocki, w końcu jednak się

zmęczył i poszedł poszukać sobie schronienia. Rozsądne stworzenie. Przemoczywszy spodnie po kolana, powinienam zrobić to samo, ale nie potrafiłam. Mój niepokój wzrastał z każdym krokiem. Do tej pory strach wiódł mnie jak na smyczy. Strach, że mama leży gdzieś ranna, chora albo – tej obawy nie umiałam od siebie odegnąć, bo mama już od dawna nie była pierwszej młodości – powalił ją nagły zawał serca. Że – ale nie mogłam tego nazwać wprost, były inne słowa... Odeszła. Zgasła. Połączyła się z moim tatą.

Nie. Błagam.

Ktoś mógłby pomyśleć, że skoro nie byłam z mamą „blisko”, to jej zniknięcie nie powinno na mnie zrobić większego wrażenia. Było jednak inaczej. Czułam się okropnie, ponieważ miałam wrażenie, że jeśli stało jej się coś złego, to z mojej winy. Zawsze czułam się winna – wszystkiego, nawet tego, że oddycham – bo pojawiłam się w życiu matki nieprzyzwoicie późno. Skandal, niepotrzebny ciężar. I zawsze obiecywałam sobie, że kiedy dorosnę, uda mi się jakoś to wszystko naprawić. Że przyjdzie dzień, w którym fakt mojego istnienia stanie się jasnym promykiem, wyzwalającym nas z mroków hańby.

I że wówczas mama mnie wreszcie pokocha.

Więc musi żyć.

A ja muszę ją odnaleźć.

W swoich poszukiwaniach zapędziłam się aż do lasu, w którym całe pokolenia jaśnie panów polowały na zajęce i kuropatwy; zapuściłam się do opadającej skalnymi półkami, porośniętej paprociami kotliny, od której wzięła nazwę nasza posiadłość i w której uwielbiałam przesiadywać, jednak dziś nie traciłam tam czasu. Przeszłam dalej, aż do granicy Ferndell Park, gdzie kończył się las i zaczynały pola uprawne.

Postanowiłam zapuścić się jeszcze dalej, podejrzewałam bowiem, że mama mogła się udać na przechadzkę po porośniętych kwiatami polach. Ze względu na bliskość miasta, mieszkańcy Ferndell porzucili uprawę warzyw i zaczęli sadzić dzwonki, bratki i lilie, których codzienna dostawa do Covent Garden okazała się znacznie intratniejszym zajęciem. Rosły tu rzędy róż, zagonny nachyłków, płonące ognistymi barwami łany cynii i maków – wszystko na potrzeby londyńczyków. Widok tych ukwieconych połaci pobudzał mnie zwykle do marzeń, wyobrażałam sobie wielkie miasto, uśmiechnięte pokojówki przystrajające dzień w dzień pomieszczenia wielkopańskich rezydencji świeżymi bukietami, damy błękitnej lub królewskiej krwi, zdobiące włosy i suknie zawilcami i wonnymi fiołkami, Londyn, w którym...

Jednak dziś porastające rozległe pola kwiaty pozwiślały główki pod ciężarem deszczu, a moje londyńskie marzenia rozpiechły się po paru minutach i zniknęły jak unosząca się nad polami mgła. Nad rozległymi polami. Nad ciągnącymi się całymi milami uprawami.

Gdzie jest mama?

W marzeniach – mówię teraz o marzeniach o mamie, nie tych londyńskich – widziałam siebie jako bohaterkę, na którą wyratowana przez nią matka spogląda z wdzięcznością i uwielbieniem.

Ale to były tylko marzenia, a ja byłam głuptasem.

Jak dotąd przeszukałam zaledwie jedną czwartą posiadłości i niewielki fragment pól. Gdyby mama leżała gdzieś ranna, wyzionęłaby ducha, zanim sama bym do niej dotarła.

Zawróciłam i pospieszyłam z powrotem do dworu.

Lane i jego żona zaczęli krążyć wokół mnie jak para turkawek nad gniazdem: on odebrał ode mnie ociekającą wodą parasolkę i przemoczone kalosze, ona zapędziła mnie do kuchni, żebym się ogrzała. I chociaż nie miała prawa mnie besztać, dała upust temu, co o tym wszystkim sądziła.

– Ktoś, kto łązi godzinami po deszczu, ma chyba nie po kolei w głowie – poinformowała wielki piec ku-

chenny, zdejmując jedną z fajerek. – I ten ktoś, czy jest dobrze, czy źle urodzony, może się z tego wszystkiego zaziębić na śmierć – usłyszał stawiany na piecu czajnik. – Suchoty nie uszanują ani urodzenia, ani okoliczności – oznajmiła puszce z herbatą. Nie czułam się w obowiązku odpowiadać, ponieważ nie mówiła do mnie. I nie wolno by jej było robić mi tego rodzaju uwag. – Można sobie być wolnym i niezależnym, ale żeby zaraz latać po polach i dorobić się zapalenia migdałków, oskrzeli, płuc albo i czego gorszego? – O tym dowiedziały się filiżanki. A potem pani Lane odwróciła się do mnie i nagle zmieniła ton. – Za pozwoleniem panienki, czy panienka zje obiad? Może zechce się panienka przysunąć z krzesłem do pieca?

– Spiekłabym się wtedy jak bułeczka. Nie, dziękuję za obiad. Czy nie było żadnych wiadomości od mojej mamy? – Mimo że znałam już odpowiedź, ponieważ Lane lub pani Lane od razu by mnie poinformowali, gdyby cokolwiek dotarło do ich uszu, nie mogłam się oprzeć, by nie zadać tego pytania.

– Żadnych, proszę panienki. – Pani Lane zawinęła dłonie w fartuch, jakby przewijała niemowlę.

Wstałam.

– Muszę więc napisać kilka listów.

– Ale w bibliotece nie jest napalone, panienko. Przy-
niosę papier i przybory do stołu, panienko.

Poczułam ulgę, że ominie mnie wątpliwa przyjem-
ność siedzenia w wielkim skórzanym fotelu w ponurym
pomieszczeniu. Pani Lane wróciła do ciepłej kuchni,
niosąc pióro ze stalówką i papier listowy z nadrukowa-
nym herbem naszego rodu oraz kilka arkuszy bibuły.

Zanurzając raz po raz stalówkę w kałamarzu, skre-
śliłam na kremowobiałych kartach kilka słów, adres-
wanych do miejscowego posterunku policji, informując
o zaginięciu mojej matki i uprzejmie prosząc o zarzą-
dzenie poszukiwań.

A potem się zamyśliłam: czy to naprawdę koniecz-
ne?

Niestety tak. Nie można tego dłużej odwlekać.

Trochę więcej czasu poświęciłam na sformułowa-
nie drugiej wiadomości, która miała niebawem dostać
skrzydeł i pomknąć po drutach do położonego o wiele
mil stąd dalekotypu, w którym zmaterializowałyby się
w postaci depezy:

LADY EUDORIA VERNET HOLMES ZAGINIO-
NA OD WCZORAJ STOP PROSZĘ O RADĘ STOP
ENOLA HOLMES

Adres: Mycroft Holmes, Pall Mall, Londyn.

Drugi telegram o identycznej treści skierowałam do Sherlocka Holmesa z Baker Street, także w Londynie.

Dwie depesze do moich braci.